

Marcin Buczyński



FALSZYWA TRÓJCA

Część 1

Kres wieczności

Marcin Buczyński
„Fałszywa trójca. Część 1 – Kres wieczności”

Copyright © by **Marcin Buczyński**, 2016
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Robert Rumak
Korekta: Paweł Markowski
Ilustracje na okładce: Olga Głowacka

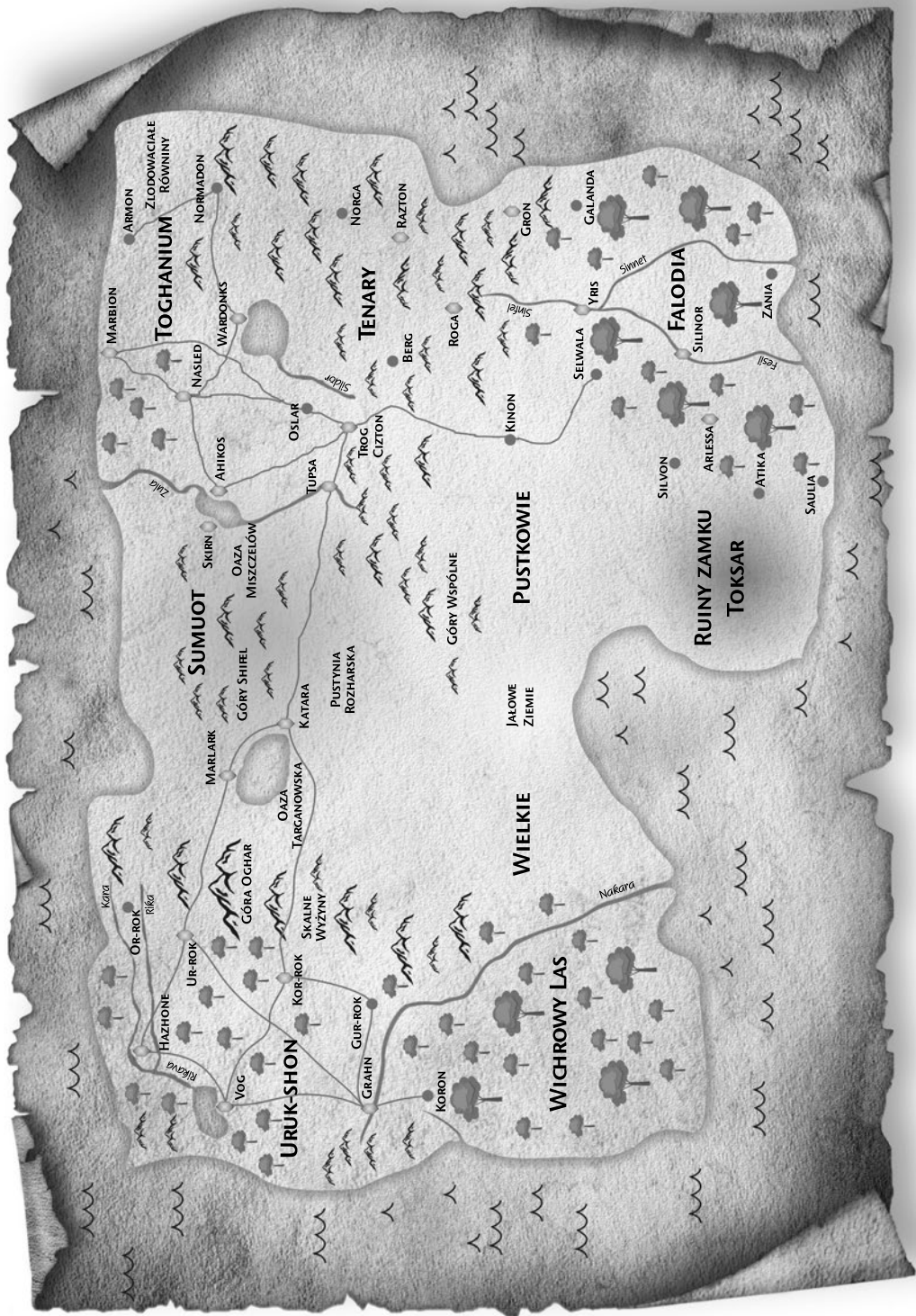
ISBN: 978-83-7900-504-8

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

*Książkę tę, jak i całą trylogię,
dedykuję mojemu bratu,
który zawsze wspierał mnie
w trudnych chwilach twórczych.*

Z Pieśni Potępionych:

*Na początku było Absolutum, a Absolutum było wszystkim.
I wyłoniła się z niego magia, a z magii ukształtowali się
bogowie, trwający przez tysiąclecia w swej dostojności.
Posiedli tedy moce tworzenia i wszystko co istnieje
zawdzięcza im swój byt.
I rozmnożyli się, aż liczby opisujące ich mnogość przekroczyły
o światcie tysiące, a o zmierzchu miliony.
A w mądrości swej wielcy byli jak i w głupocie.
Tak w miłosierdziu jak i w okrucieństwie.
I nastąpiły między nimi podziały. A wtem rozbłyśło światło,
a na firmamencie ukazały się płomienie przedwiecznej potęgi.
Odpowiedział im ryk gromów. Od tego czasu nastąpiła anarchia.
I rozkazała tedy Ara, by rozgorzała wojna. I stało się.
Słów bogini posłuchały jej stronniczki.
I rozkazał tedy Zafak, by rozgorzała wojna. I stało się.
Słów boga posłuchali jego stronnicy.
I stało się.*



1

Błady blask księżyca przesączający się przez gęste chmury padał na wypolerowany napierśnik z naszytymi na ramionach symbolami królestwa Toghanium. Dwa błyszczące miecze krzyżowały się dumnie na tle trójkątnej złotej tarczy.

Mężczyzna szedł brukowanym dziedzińcem pałacu obsypanym delikatną warstwą śniegu i odznaczał w nim ślady wysokimi wojskowymi butami. Prowadził ze sobą wielką, pokraczną postać odzianą w szmaty i skutą grubymi kajdanami. W słabej księżycowej poświacie jej skóra zdawała się być mroczna i mętna jak morskie dno, w istocie miała zieloną barwę.

Wartownicy skrzyżowali halabardy, zagradzając wstęp do majestatycznej budowli. Wszędzie wokół panowała niezmacona cisza, nawet sam pałac zdawał się spać.

– Stać. Kim jesteście i czego chcecie? – spytał starszy z nich.

– Prowadzę niezmiernie ważnego więźnia – mężczyzna odparł głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Król musi usłyszeć, co ma on do powiedzenia.

– Jest środek nocy – drugi z gwardzistów przestąpił z nogi na nogę.

– Jego Wysokość Oizon Pierwszy nie będzie zadowolony z twej wizyty, panie.

– Jakoś mnie ścierpi. Otwieraj wrota. To jest rozkaz, żołnierzu.

Wartownicy spojrzeli po sobie, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że więcej kłopotów przysporzy im zatrzymanie przybyśsza, niż wpuszczenie go. Starszy z nich rzucił przez wizjer nakaz otworzenia wrót i po chwili odsunął się rygiel, a skrzydło się uchyliło.

– Czy wolno mi spytać – odezwał się nieśmiało młodzik – co ten brudny ork ma takiego ważnego do powiedzenia królowi?

Mężczyzna pchnął więźnia przez przejście, chcąc mieć go w polu widzenia. Dopiero wtedy nachylił się do ciekawego wartownika i szepnął:

– Że nadszedł kres jego rządów.

Oczy młodzieńca niemalże wyszły z orbit na widok obnażonego ostrza, które nagle znalazło się w dłoni przybysza. Mężczyzna szybko wbił miecz w gardło chłopaka, zanim wydobył się z niego krzyk. Jednym ruchem wyszarpnął klingę i ciął nią starszego wartownika, wykonując półobrót.

Z wnętrza budowli doszedł go stłumiony syk. Przybysz wyciągnął miecz w stronę wejścia i ujrzał swego więźnia zaciskającego łańcuch kajdan na szyi strażnika. Po chwili uduszony gwardzista został delikatnie położony na ziemi przez wysoką postać.

– Ten był ostatni. Może już to ze mnie zdejmiesz? – wyciągnął w stronę mężczyzny skute dłonie.

Ten sięgnął po klucz przypięty do pasa i za jego pomocą uwolnił fałszywego więźnia.

– Uprzątnijmy ciała. Teraz musimy działać szybko.

Odciągnęli trupy w boczny zaułek i przykryli je pod wałającymi się tam śmieciami. Ork podniósł jedną z halabard wartowników i uniosł ją w stronę księżycy, obserwując ostrze w jego blasku. W wielkich zielonych dłoniach drzewiec zdawał się być tylko kijkiem.

– Ludzka słabo wyważona broń – mruknął. – Powinniście się uczyć od mych braci z zachodu, jak wygląda prawdziwy oręż.

– Dość gadania. Idziemy.

Po cichu wślizgnęli się do pałacu i zaryglowali za sobą drzwi. Kluczyli między kolumnami i bocznymi przejściami, unikając każdego napotkanego patrolu. Korytarze spowijał mrok rozświetlany jedynie kilkoma pochodniami.

Wreszcie dotarli do osobistych komnat władcy. Holu pilnowało dwóch wędrujących po nim strażników oraz druga dwójka nie odstępująca wejścia na krok.

Kiedy patrol znalazł się blisko wnęki, ork wyskoczył, powalając jednego z żołnierzy potężnym zamachem berdysza. Drugi z nich się uchylił i krzyknął coś do pozostałych. Towarzysz zielonoskórego wypadł z mroku i szybkim pchnięciem przebił strażnika.

Wartownicy otrząsnęli się z osłupienia i stanęli w gotowości. Jeden z nich warknął coś do drugiego i tamten puścił się biegiem w przeciwną stronę. Drugi stanął na rozstawionych nogach, zagradzając intruzom drogę.

– Musimy go złapać! – syknął mężczyzna. Wyciągnął sztylet i rzucił nim w oddalającego się wartownika. Ostrze weszło po samą rękojęść, wydobywając z gardła tamtego pełen bólu jęk. Trafił go w ramię. Uciekinier zachwiał się, ale biegł dalej.

Ork krzyknął w złości i staranował stojącego mu na drodze wojownika. Solidnym kopniakiem rzucił go na ziemię i pobiegł za oddalającym się żołdakiem.

Człowiek zrozumiał, że musi sam dokończyć dzieło. Dobił leżącego gwardzistę i wparował do sypialni króla. Z korytarza dobiegł go odgłos walki i donośny krzyk.

Hałas obudził władcę, który zerwał się na równe nogi, wyciągając spod poduszki niewielki nóż. Wiek nie osłabił werwy monarchy, a kilka siwych włosów na głowie nie sprawiło, że zatracił krzepę. Szybko zareagował, wykonując pchnięcie wymierzone w szyję oprawcy.

Jednak intruz był szybszy. Uchylił się i nie dał władcy czasu na unik. Ciął go przez brzuch, plamiąc królewską komnatę tryskającą krwią i wnętrznościami. Monarcha upadł na kolana z krzykiem, skróconym szybkim uderzeniem skrytobójcy. Głowa Oizona Pierwszego upadła na kunsztownie zdobiony dywan, kąpiąc go w kałuży juchy.

Korytarz wypełnił skowyt orka i odgłos klingi wbijanej w ciało. Mężczyzna z ponurym warknięciem skierował się do wyjścia.

Do środka wbiegło kilku zbrojnych wraz ze stojącym na ich czele dowódcą. Jego miecz ociekał czarną krwią. Doświadczony oficer jednym, precyzyjnym ciosem rozbroił zaskoczonego skrytobójcę i uderzył go łokciem w twarz. Mężczyzna upadł na plecy, tuż obok ciała zamordowanego króla.

– Marszałek Kalas...? – wychrypiał ze zdziwieniem. Otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk, gdyż dowódca kopnął go w skroń i intruz stracił przytomność.

* * *

Ponure podmuchy wiatru szarpały brudnymi łachmanami skazańców stojących na drewnianym podwyższeniu. Było wśród nich szesnastu ludzi i czterech orków. Ubrano ich w workowaty, wypłowiały strój, jaki zawsze mieli na sobie złoczyńcy prowadzeni na egzekucję. Symbolizowało to ich hańbę i upadłość moralną.

Kapitan Matteo przestąpił z nogi na nogę, krzyżując na piersi muskularne ramiona. Przypatrywał się wydarzeniu z mieszanką zaniepokojenia, czujności i bólu. Podczas swojej ponaddwudziestoletniej służby w armii nie spotkał się z tak straszną zbrodnią. Nie spodziewał się, że władcy grozi jakieś niebezpieczeństwo i to ze strony tak wysoko postawionych osób. Zwłaszcza, że jedną z nich był bezpośredni dowódca Mattea, niejaki major Gunteg, którego kapitan bardzo szanował i podziwiał. Nie mógł uwierzyć, że okazał się on zdrajcą.

Pilnując porządku na egzekucji, uważnie obserwował tłum bystrymi oczami, spoglądającymi czujnie spod łukowatych brwi, pasujących kolorem do rozczochranych ciemnych blond włosów. Widział na twarzach zgromadzonych gapiów dogłębną rozpacz i niezrozumienie. Ludzie byli poruszeni. Wszędzie słyhać było prowadzone podniesionymi głosami rozmowy i oskarżenia, kierowane ku winowajcom. Kochali swego szczodrobliwego króla Oizona Pierwszego i domagali się najwyższej kary za jego zamordowanie. Domagali się krwi.

Marszałek Kalas wszedł na szeroki postument, trzymając w ręku rulon. Odznaki przypięte do ozdobnego munduru podskakiwały, kiedy pokonywał kolejne stopnie. Przez wieloletnią służbę zjednał sobie respekt Toghana, którzy upatrywali w nim posłańca Argusa, Boga Sprawiedliwości, stwórcy ludzkiej rasy. Nieustępliwego w dążeniu do celu. Bezlitosnego w wykonywaniu wyroków.

Wysoki wojskowy przeczesał krótkie, posiwiałe już włosy i stanął dumnie przed skazańcami. Nie licząc czterech orków wszyscy z nich byli jego podkomendnymi, co jednak w żadnym stopniu nie umniejszyło zapału, z jakim Marszałek ich ścigał. Spisek rozwinął się wśród oficerów przeróżnych rang: poruczników, majorów, a nawet dwóch generałów. Był to bardzo przykry dowód zdeprawowania i niezgody, jakie nękały kraj.

Rozwinąwszy rulon, Marszałek Kalas wymierzył sądny palec w zdrajców.

– Zostaliście oskarżeni o działanie w spisku mającym na celu osłabienie naszego kraju i wydanie go na pastwę orków. Zebrane dowody i przesłuchani świadkowie nie pozostawiają cienia wątpliwości co do winy wszystkich oskarżonych. Uciekając się do skrytobójczego zamordowania króla Oizona Pierwszego sami pozbawiliście się honoru i godności. Okazaliście się zdrajcami swego narodu. Za najokropniejszą zbrodnię grozi najwyższa kara. Swymi ohydnyymi czynami dotknęliście wszystkich mieszkańców Toghanium, lecz przede wszystkim rodzinę królewską. Dlatego wyrok wykona Jego Wysokość Oizon Drugi.

Marszałek upadł na kolano, a za jego przykładem poszli wszyscy zebrani, kiedy z drugiej strony na postument weszła postać ubrana w obszyty złotymi nićmi, połyskliwy fioletowy płaszcz. Na jej głowie spoczywała wysadzana klejnotami korona.

Syn Oizona Pierwszego był jeszcze chłopcem o delikatnej twarzy, lecz już na tyle dojrzałym, że mógł objąć urząd. Jego koronacja odbyła się niedawno. Kapitan Matteo obawiał się, że młodzieniec może nie sprostać oczekiwaniom swego ludu w tych trudnych czasach. Stosunki z Uruk-shon z każdym dniem stawały się coraz bardziej napięte, a egzekucja kilku jego zielonoskórych mieszkańców na pewno ich nie poprawi. Wojna wisiała w powietrzu.

Nowy król dał ręką gest i wszyscy powstali.

– Ci zbrodniarze nie zasłużyli na jakąkolwiek łaskę. Niech sprawiedliwości stanie się zadość!

Wyciągnął szeroki, dwuręczny miecz i podszedł do pierwszego ze skazańców. Kapitan śledził jego ruchy wzrokiem. Żołnierze kopnęli

brudnego mężczyznę w nogi, zmuszając go do klęknienia. Oparli jego głowę o specjalny podest.

Kapitan Dylon. Jego zmierzwione włosy były pozlepiane krwią. Matteo nigdy nie przepadał za tym człowiekiem, uważając go za zadufanego w sobie pyszałka. Teraz wiedział przynajmniej, że jego obawy co do charakteru współpracownika okazały się słuszne.

Monarcha uniósł miecz i opuścił go na szyję zdrajcy. Klinga cięła głęboko, lecz odbiła się od kości, nie oddzielając głowy od tułowia. Młodociany król wykrzywił się w ponurym grymasie, jednak zaraz zebrał się w sobie i dokończył dzieła ponownym cięciem.

Stanął nad kolejnym skazańcem, powtarzając egzekucję. I tym razem nie udało mu się za pierwszym razem ściąć głowy zdrajcy, co wprowadziło go w spore poirytowanie.

Nic dziwnego. Oficer odwrócił wzrok, starając się ukryć zażenowanie. Oizon Drugi właśnie usilnie starał się przekonać wszystkich zgromadzonych, że jest zaledwie chłopcem, a nie dojrzałym mężczyzną zdolnym poprowadzić kraj.

Jeden z gwardzistów podał młodzieńcowi wielki topór. Z pomocą ciężkiego ostrza monarcha zdołał stracić resztę oskarżonych, chociaż miał trudności z władaniem masywną bronią. Kiedy nadeszła kolej majora Guntega, Matteo bacznie obserwował swego niegdysiejszego przełożonego. Chciał wierzyć, że jest on niewinny, lecz wtedy tym bardziej bolałaby go jego śmierć. To musiało być jakieś okrutne nieporozumienie. Kapitan niejednokrotnie próbował przekonać innych, że major jest niewinny. Nie miał jednak na to żadnych dowodów. Po prostu to czuł.

Oczywiście nie mogło to zmienić wyroku. Sam Marszałek Kalas powiedział mu, że Gunteg przyznał się do winy, a dodatkowo obciążały go zeznania generała Sedricka, który na własne oczy widział, jak oskarżony dostarcza orkom ważne dokumenty państwowe.

Więc może jednak mieli rację, a Matteo był po prostu zbyt łatwowierny, aby dostrzec zło kryjące się w człowieku, którego poważał. Przecież takie sytuacje zdarzały się dosyć często. Nie przypuszczał jednak, że kiedykolwiek dotkną jego samego. Z ponurym wyrazem

twarży wpatrywał się w beznamiętne oczy majora. Zdawało mu się, że dawny przełożony patrzy wprost na niego.

Toporzysko przeszło przez szyję skazańca niczym przez powietrze. Fontanna krwi zbryzgała podest. Głowa odtoczyła się w bok, znacząc swą ścieżkę szkarłatnym szlakiem.

Kilka chwil później było już po wszystkim. Dwadzieścia trupów spoczywało na postumencie.

– Wyrok został wykonany – oznajmił monarcha, bezskutecznie próbując ukryć zadyszkę. – Prawa boże zachowane.

Kapitan Matteo patrzył, jak gromada gapiów zaczyna się powoli rozrzedzać. Ludzie wracali do domów. Potarł ręce o siebie, próbując się trochę rozgrzać. Mimo odejścia zimy chłodne powietrze wciąż uporczywie kąsało.

Żołnierz był pod wrażeniem skuteczności działań Marszałka. Jako że zbrodnia dotyczyła głowy państwa, głównodowodzący armii osobiście prowadził dochodzenie. Dniem i nocą wylapywał kolejnych szpiegów, odnajdując za ich pomocą kolejnych zdrajców. I tak rozbił całą ich siatkę, do której należeli także orkowicze.

Pozostawało tylko mieć nadzieję, że owe fatalne wydarzenia nie poniosą za sobą kolejnych, jeszcze gorszych w konsekwencje wypadków. Jeśli zielonoskórzy faktycznie szykowali najazd, to rządzone słabą i niedoświadczoną ręką królestwo Toghanium może się nie przeciwstawić ich potędze z zachodu.

* * *

Dwie postaci o potężnej posturze wtuliły się głęboko w cień rzucany przez karczmę. Dochodzące ze środka hałasy pozwalały im rozmawiać półszepem, nie zwracając przy tym na siebie uwagi.

– Jesteś pewien, że będzie tędy przechodził? – spytała pierwsza osoba, mocniej naciągając kaptur. Przemoczony płaszcz przylegał do jej muskularnego ciała. – Nie mam ochoty stać na tym deszczu dłużej, niż to konieczne.

Wykrzywił usta w ponurym grymasie, ukazując swe orkowe, ostre kły.

– Cierpliwości, Grik – odparł drugi z zielonoskórych. – Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Dokładnie rozszyfrowałem wiadomość. Zaraz tu będzie...

Obaj zamilkli, nasłuchując kroków nadchodzącego strażnika miejskiego. Zbrojny szedł z obnażonym mieczem, w drugiej dłoni trzymając pochodnię uporczywie zmagającą się z wszechobecną wilgocią. Orkowie pochylili głowy i cofnęli się o krok, próbując pozostać w ukryciu.

Jednak nikłe światło rzucane przez płomień wystarczyło, aby ciekawski wartownik zwrócił na nich uwagę. Przystanął.

– Wy tam! – krzyknął. Grik zaklął pod nosem. – Wyjdźcie z cienia.

– Nie szukamy kłopotów – mruknął drugi z orków, starając się nie zdradzić głosem swojej rasy. – Wyszliśmy się tylko przewietrzyć.

– W taką pogodę? – prychnął żołnierz. – Przestańcie wciskać mi ten kit i wyłaźcie stamtąd.

Najwidoczniej trafili na typ służbisty. Jakby i bez tego mieli mało kłopotów! Nie mając innego wyboru, obaj zielonoskórzy wyłonili się z cienia. Grik butnie skrzyżował ramiona na piersi. Ramiona tak grube, że z łatwością mogły konkurować z udami mężczyzny.

– Orkowie – strażnik wypowiedział to słowo niczym obelgę. – Czego tu chcecie? Już dawno minęła północ. Łaźnienie po zmroku jest zakazane. Wracajcie do swoich zawszonych nor!

– Masz jakiś problem, człeczyno? – warknął poirytowany Grik.

Jego towarzysz położył mu rękę na piersi, powstrzymując dalsze komentarze z jego strony.

– Spokojnie, bracie. On tylko wykonuje swoje obowiązki. Zupełnie jak my – dodał, patrząc w oczy rozeźlonego gwardzisty. Wyjątkowo odważnego gwardzisty, skoro zdecydował się zaczepić dwójkę o głowę wyższych od niego orków. Odważnego i głupiego. – Po prostu czekamy na przyjaciela. Miał do nas dołączyć w tej karczmie. Nie zabawimy tu długo.

– Na przyjaciela, he? – syknął człowiek. – Znów coś knujecie, śmierdzące kundle. Będę musiał to zgłosić w koszarach. Jak chcecie, to stójcie sobie w tym deszczu. Ale jak będę wracał z obchodu, to ma już was tutaj nie być. Zrozumiano?

Drugi z orków ponownie uciszył pobratymca, zanim tamten zdążył wybuchnąć. Postarał się, żeby jego uśmiech wyglądał na jak najszczerzy. W istocie już obmyślał, jak zabić natrętnego pyszałka.

– Oczywiście, panie. Życzymy miłej nocy.

– A pieprzyć tę noc. Leje, jakby sami bogowie na nas szczali.

Z tymi słowy odwrócił się i wznowił swą rutynową wędrówkę.

– Rhzon... – mruknął Grik, lecz tamten mu przerwał.

– Wiem.

Bardzo cicho jak na swoją masę wychynął zza rogu i chwycił oddalającego się mężczyznę, zakrywając mu usta. Z łatwością szarpnął go w stronę cienia i zręcznym ruchem poderżnął mu gardło. Przytrzymał drgające ciało, póki całkiem nie zdrętwiało. W międzyczasie Grik zdążył zgasić pochodnię, dającą zdecydowanie zbyt dużo światła. Obaj rozejrzeli się, bacząc, czy nikt ich nie zauważył, i ponownie zniknęli w cieniach, ukrywszy ciało za sobą. Na szczęście stolica twardo spała.

Rhzon już miał z powrotem narzucić kaptur na głowę, jednak kątem oka zarejestrował ruch.

– Nadchodzi – szepnął do przyjaciela, mrużąc oczy. Wyciągnął z ukrycia ogromne toporzysko. – Jesteś gotów?

– Jeszcze się pytasz? – uśmiechnął się ochoczo Grik, zaciskając żądne krwi pięści na rękojeści dwuręcznego miecza.

– Nie wolno nam zawieść mistrza. Niech Shor Shet prowadzi nasze ostrza.

Orkowie wyskoczyli z ukrycia. Noc spłynęła krwią.

Matteo zerwał się z koszmarne go snu. Usiadł na łóżku, nasłuchując oznak niebezpieczeństwa. Nawet w środku nocy pozostawał czujny.

Kiedy już dochodził do wniosku, że nie stało się nic złego i że to tylko zły sen wprowadził go w zaniepokojenie, do jego uszu doszedł charakterystyczny dźwięk, nie mogący zwiastować o tej porze nic innego, jak tylko nieszczęście.

Dzwony. Rozbrzmiewały w całym mieście. Biły tak samo zło-wieszczo, jak w noc zabójstwa króla Oizona Pierwszego.

Czy mogły ostrzegać przed czymś równie okropnym...?

Niewiele myśląc wojskowy podniósł się z łóżka i natychmiast włożył spodnie. Naciągnął na tułów koszulę i pospiesznie zasznurował wysokie buty. Wciągnął mundur, przełożył pendent miecza przez głowę i wybiegł ze swej kwatery.

Na korytarzu panował zamęt. Żołnierze zaczęli wychodzić z pomieszczeń sypialnych, gdzie ktoś coś krzyczał. Dźwięk pobudki graney przez wartownika jeszcze bardziej wzmagął atmosferę pośpiechu.

Wszyscy udali się na plac ćwiczeniowy. Do tej pory zdążyła się tam już zebrać spora grupka zdezorientowanych, ale zdyscyplinowanych i gotowych na wszystko żołnierzy, inni nadciągali w pośpiechu, ustawiając się w szeregi z zawodową precyzją. Kapitan stanął na czele swej kompanii, podobnie jak i inni oficerowie. Wszystkiemu przewodził generał Wylan. Był on człowiekiem obowiązkowym i surowym. Uwielbiał swoje bujne wąsy, kontrastujące z łysiejącą czaszką. Z powodu niedawnej czystki był on ostatnim generałem w stolicy i odpowiadał jedynie przed Marszałkiem Kalasem.

– Baczość! – zawołał donośnie. Lekka mżawka padająca od wieczora przerodziła się teraz w uporczywy, zimny deszcz, konkurujący hałaśliwie z władczym głosem dowódcy. Generał bez trudu wygrywał ten pojedynek. – Dostaliśmy niepokojące raporty od wartowników z miasta. Wygląda na to, że mamy do czynienia z paskudnym porwaniem. Najprawdopodobniej orkowie uprowadzili Marszałka Kalasa. Wybili jego ochroniarzy i strażników przy północnej bramie. Kapitanowie: Ceron, Edward i Podrick – bierzcie swoich chłopców i za mną! Musimy znaleźć te bestie, zanim zbyt się oddalą.

Wymienieni oficerowie zaszalutowali i zaczęli wykrzykiwać rozkazy swoim żołnierzom, którzy natychmiast się rozbiegli, wykonując polecenia.

– Kapitanie Matteo!

Mężczyzna natychmiast zareagował na dźwięk swojego imienia.

– Panu powierzam śledztwo w tej sprawie. Ma pan rozkaz odnalezienia i zabezpieczenia wszelkich śladów. Niech się pan dowie wszystkiego, czego tylko można się dowiedzieć, choćby trzeba w tym celu zajrzeć do gardzieli samego Shor Sheta! Po powrocie oczekuję pełnego raportu! Zrozumiano?

– Tak jest! – odpowiedział kapitan.

Od strony stajni dało się słyszeć rżenie koni. Po chwili trzy kompanie wjechały na plac na osiodłanych wierzchowcach. Ktoś podprowadził generałowi jego rumaka i ten szybko na niego wskoczył.

– Za mną! Jazda!

Hałas kopyt uderzających o bruk z pewnością słyhać było w całej okolicy. Zanim oddział kawalerii zniknął za bramą koszar, Matteo odwrócił się do swoich podkomendnych.

– Słyszeliście rozkaz generała! Mamy wyjaśnić ten cały chaos. Jeff i Roland idą ze mną. Reszta ma za zadanie przeszukać miasto. Znajdźcie każdego orka i przyprowadźcie go tutaj. Najwidoczniej nie wszyscy członkowie spisku zostali odszukani.

Jeff i Roland byli kapralami służącymi bezpośrednio pod kapitanem Matteem, a przy tym jego dobrymi przyjaciółmi. Zdjęli pochodnie ze ścian i ruszyli w stronę miejsca zbrodni.

Wardonks był dużym miastem, lecz dzięki zarówno rozbudowanej sieci brukowanych dróg jak i nieco przestarzałemu, lecz wciąż sprawnemu systemowi kanalizacyjnemu, poruszanie się po nim nie sprawiało trudności – nawet podczas deszczu. O ile oczywiście znało się trasę.

Po krótkim czasie dotarli do celu. Wokół ciał zebrał się już spory tłumek gapiów, trzymany przez gwardzistów w bezpiecznej odległości. Wzywali po cichu Argusa, patrząc z przerażeniem na ślady makabry.

– Kapitanie! – powitali go mundurowi.

– Przejmuję dowodzenie – zarządził Matteo. – Każcie tym ludziom wracać do domów! Szukamy ukrywających się członków spisku. Jeśli ktoś ma jakieś informacje o orkach, ma obowiązek natychmiast powiadomić o tym straż. Zakaz opuszczania domostw po zmroku będzie sumiennie egzekwowany, a każdy złapany trafi do aresztu.

Żołnierze zaszalutowali i zaczęli przepędzać tłuszcze, przekazując polecenia kapitana. Matteo został sam z przyjaciółmi nad trupami zamordowanych.

– Sześciu – mruknął kapitan, ponuro zerkając na okaleczone ciała. Nawet bez dokładnych oględzin widać było, że zadano im szybką i bezlitosną śmierć. – Sześciu osobistych ochroniarzy Marszałka.

– Czarna krew – szepnął Jeff, odgarniając z czoła przemoczony kosmyk włosów w kolorze słońca. Teraz miały barwę smoły. Wziął do ręki miecz jednego z żołnierzy i wznosił go wyżej, oglądając obsydianową posokę w świetle pochodni. – Orkowa.

– Przeprowadź mi tutaj tego, który pierwszy zobaczył ciała – oficer zwrócił się do Rolanda. – Muszę z nim porozmawiać.

Kapral oddalił się, wykonując zadanie, mężczyźni zaś dalej przyglądali się uważnie pomordowanemu, leżącemu w ciasnym półokręgu.

– Nawet nie zdążyli się przegrupować – zauważył kapitan. – Część z nich nie wyciągnęła nawet mieczy.

– Atak nadszedł z zaskoczenia – Jeff krążył wokół ciał. – Orków musiało być całkiem sporo, skoro z taką łatwością uporali się z całą szóstką.

– Zaatakowali z dwóch stron – starszy oficer stanął po drugiej stronie pobojowiska. Wskazał dwójkę żołdaków. – Tym poderżnięto gardła. Ktoś zaszedł ich od tyłu.

– A tamten? – zagadnął nagle kapral. Pokazywał głową inne truchło leżące kilka kroków dalej w ciemnym zaułku, przykryte kilkoma połamanymi deskami i najróżniejszymi popsutymi przedmiotami. Najwidoczniej karczmarz wyrzucał tam wszystkie niepotrzebne rupieci.

Podeszli do pechowca, który musiał po prostu znaleźć się w nieodpowiednim miejscu o niewłaściwej porze. Nosił na sobie standardowy mundur miejskiego strażnika. Najprawdopodobniej wykonywał obchód i przypadkiem natknął się na zbrodniarzy.

– Tutaj się ukrywali – wywnioskował Mat. – Idealny kąt na zaczenie się. Stali w tym samym miejscu, co my teraz.

– Przynajmniej jedna grupa. A skoro byli tak blisko, to każdy znajdujący się wewnątrz tego budynku powinien ich usłyszeć, jeśli tylko wydawali jakiegokolwiek dźwięki.

– Kapitanie – przerwał im głos Rolanda. Obok niego szedł przestraszony młodzieniec. Wstąpił na służbę niedawno.

– Dziękuję ci, Rolandzie. – Spojrzał na chłopaka. – Jak cię zwą?

– Fenoo, kapitanie.

– Zatem powiedz mi, Fenoo, jak to się wszystko stało? Nie pomijaj żadnych szczegółów. Mogą okazać się istotne.

Żołnierz przełknął ślinę z wyraźnym trudem. Oficer zauważył, że zerka on co i raz na ciało ukryte wśród gratów. Zapewne był to jego kolega z oddziału.

– Przykro mi z powodu tej śmierci – kapitan spojrzał mu prosto w oczy z żelazną powagą. – Umarł za swoją ojczyznę. Nie pozwólmy, by ta ofiara poszła na marne. Toghanium cię potrzebuje, żołnierzu. Weź się w garść i powiedz mi wszystko, co wiesz.

Tamten pokiwał głową, walcząc z obezwładniającą goryczą. Kapitan doskonale go rozumiał. Pamiętał dobrze, jak sam przeżywał śmierć i wszechobecne cierpienie przyjaciół, kiedy był zaledwie świeżym rekrutem. A czasy wtedy były jeszcze gorsze.

Wojna z orkami szalała w najlepsze, zielonoskórzy okupowali pół kraju i zbliżali się coraz bardziej do stolicy. Matteo brał udział w decydującej bitwie jako zwykły szeregowiec, i to właśnie wtedy nabył hartu ducha. Przetrwac zarówno fizycznie jak i psychicznie pomogło mu wszystko to, czego nauczył go dobry kapitan Gunteg. Już któryś raz z kolei po jego śmierci Mat nie mógł uwierzyć, że ten człowiek tak bardzo się zmienił od owego czasu.

– Razem z Rafaelem patrolowaliśmy tę ulicę, ja z jednej a on z drugiej strony. – Młodzik mówił drżącym głosem, ale z każdym słowem nabierał on mocy. – Mijaliśmy się co kilkanaście minut, może pół godziny, idąc w przeciwnych kierunkach. Kiedy nie spotkałem go w stałym miejscu w połowie drogi zacząłem się niepokoić. Przyspieszyłem kroku i wtedy... znalazłem... to wszystko. Od razu pobiegłem do koszar.

– Słusznie zrobiłeś. Ile czasu mogło minąć między twoim ostatnim spotkaniem z Rafaelem a odkryciem zwłok?

– Nie jestem pewien, kapitanie... to miejsce leży już przy końcu ulicy. Zwyczajowo minęlibyśmy się kawałek drogi stąd. Zanim tutaj przyszedłem mogły minąć trzy kwadranse, nie dłużej.

– Dobrze – dowódca pokiwał głową. – Tyle chciałem wiedzieć. Możesz odejść.

Chłopak zsalutował i oddalił się. Kapitan wpatrywał się przez jakiś czas w jego plecy. – *Ciekawe, czy jest świadomy, jak wiele miał szczęścia* – pomyślał. – *Równie dobrze to on mógł znaleźć się koło karczmy, kiedy orkowie akurat szykowali się do zamachu.*

– Mat? – głos Jeffa wyrwał go z zadumy. – Wszystko w porządku?

Kapitan wypuścił powietrze z płuc z przeciągłym westchnieniem. Dlaczego nie przyszło mu żyć w prostszych czasach? W czasach pokoju, lub wtedy, kiedy Toghanie wraz z elfami podbili Uruk-shon i to oni rozdawali karty w tej chorej grze? Jednak to było dawno temu, a teraz lud Shor Sheta odzyskał siłę i wzmógł swą nienawiść do arguszyków. Gdy oficer był młody, zielonoskórzy próbowali zniszczyć swych rywali brutalną siłą, a skoro to nie poskutkowało, to najwyraźniej tym razem chcieli zdobyć Toghanium niszcząc je od wewnątrz,

mordując króla i porywając Marszałka armii w tylko sobie znanych celach. Czy chcieli się zemścić na nim za rozbięcie tajnej grupy? Mogli w ten sposób osłabić organy śledcze, które nie zdołają wytropić reszty spiskowców. Dlaczego z członkami podziemnych organizacji zawsze jest jak z plagą szczurów? Nieważne, ile się ich wybije i jak bardzo się jest pewnym, że to już wszystkie – i tak znajdują się kolejne, ukryte pod jeszcze głębszymi warstwami brudu.

A może orkowie będą próbowali wydobyć z Marszałka Kalasa istotne informacje dotyczące państwa? Matteo był przekonany, że głównodowodzący prędzej zginie, niż da się złamać, ale mogą go też poddać czytaniu w myślach. Oficer nie znał się za bardzo na magii, wiedział jednak, że takie coś jest możliwe, bo czarodzieje Toghanium sami stosowali takie zabiegi. I o ile orkowie z pewnością nie posiadają tak rozwiniętej szkoły magii umysłu, i niewielu z nich zna jej tajniki, to ich główny szaman, tytułowany jako Wielki Khar z pewnością poradzi sobie zaklęciem penetrującym mózg osoby nieobdarzonej.

Wreszcie odezwał się do swoich podkomendnych.

– Jeffie, sprawdź, jak wygląda sytuacja przy północnej bramie. Generał Wylan wspominał, że tam też są trupy. A ty, Rolandzie zajmij się uroczystościami pogrzebowymi. Oni wszyscy zginęli na służbie, wypełniając obowiązki wobec swego kraju, nawet, jeśli było to zwykłe patrolowanie miasta.

Mężczyźni uderzyli się w pierś i skłonili.

– Ja wypytam o wszystko właściciela tej gospody. Na pewno coś słyszał.

* * *

Matteo pchnął drzwi tawerny. Głośne skrzypnięcie, podkreślone przez panującą wewnątrz ciszę, zaanonsowało jego przybycie. Wszyscy goście naraz zwrócili twarze w stronę kapitana. Nie pozwolono im wrócić do domów, gdyż należało ich jeszcze przedtem przesłuchać.